

Od „wspólnoty sprzeciwu” do „literatury sprzeciwu”

– rozmowa z Kazimierzem Orłosiem

Damian Strzeszewski – W Pana dorobku istotne miejsce zajmuje temat polskości – zdegradowanej, poddanej historycznej opresji. Wiąże się z tym użycie strategii literackich, które nieopisaną wprost, ale obecną za kulisami narracji, wzorcową polskość mają restytuować. W ważnym wywiadzie, udzielonym Piotrowi Szewcowi i zatytułowanym *Kłopoty z cudem* (ukazał się on w „Rzeczpospolitej” z 1–2 września 2001 i – w wersji rozszerzonej – w tomie zbiorowym pod tytułem *Wolność i współczucie. Rozmowy z pisarzami*, Kraków 2002), mówił Pan: „Myślę, że warto wprowadzić rozróżnienie: «polskość» w znaczeniu pozytywnym i «polskość» w znaczeniu negatywnym. W pozytywnym to język, ludzie, pejzaż, to więc, do czego jesteśmy przywiązani od dzieciństwa. Dla mnie to także Polska lat wojny i przełomów w czasach komunistycznych – tych wszystkich tragicznych zmagania z najeźdźcami, okupantami. To, oczywiście, historia naszego kraju, z jej wzlotami i upadkami, ale bliska, jak historia własnej rodziny. Z drugiej strony, w znaczeniu negatywnym, jest Polska prymitywna, pijana, brudna – niestety, ta powszednia, którą tak często widzimy naokoło”. Czy rozróżnienie to uważa Pan za aktualne dzisiaj – po doświadczeniach takich jak konserwatywny zwrot w polityce, masowa emigracja zarobkowa, podziały w Kościele katolickim, dramatycznie ujawnione po nominacji i rezygnacji abp. Stanisława Wielgusa, powszechne obudowywanie sukcesów i porażek sportowych niby-patriotycznymi emocjami?

Kazimierz Orłoś – Tak, ten obraz pozostaje aktualny. Bardzo pesymistycznie patrzę na załamanie obyczajów, kultury życia codziennego w Polsce – zjawiska moim zdaniem wyraźnie widoczne. Jeżdżąc trochę po kraju i obcując z różnymi środowiskami, obserwuję mnóstwo negatywnych zjawisk. Weźmy choćby to, co opisują gazety lokalne na prowincji. Za przykład może posłużyć też zdemolowanie przez kibiców Legii Warszawa stadionu w Wilnie...

Damian Strzeszewski – Byłem wówczas w stolicy Litwy i widziałem postęпки tych troglodytów na ulicach miasta.

Kazimierz Orłoś – Właśnie, w ten sposób negatywny stereotyp Polaków utrwała się w oczach naszych sąsiadów. Weźmy też niedawny tragiczny wypadek autokaru z polskimi pielgrzymami w pobliżu Grenoble: absolutne lekceważenie przez młodego kierowcę, Polaka, obowiązujących w innym kraju przepisów, złamanie licznych zakazów. Objawia się w tym jakaś beztroska. Kierowca odpowiada za życie tylu ludzi, a decyduje się na niebezpieczną jazdę. Wyłania się z tego obraz Polski w jakimś sensie „dziecinnej”.

Damian Strzeszewski – A co zawiodło? Nie możemy już tłumaczyć wspomnianych zjawisk jedynie relatywizacją wartości, związaną z życiem w niesuwerennej PRL. Już prawie dwadzieścia lat minęło od przełomu.

Kazimierz Orłoś – Myślę, że odgrywają tu rolę swoiste cechy historyczne, to, co nazywamy charakterem narodowym. Kształtowała go tragiczna historia, rozbiory, ale także Polska saska, która doprowadziła do rozprężenia – wszczepiła nam brak pewnego rodzaju dyscypliny. Mnóstwo negatywnych cech wyniesionych z przeszłości uzewnętrznia się stale, to widać u przedstawicieli różnych pokoleń. Myślę, że znaczenie zdecydowanie pozytywne należy przypisać dwudziestolecu międzywojennemu: dzięki niemu nastąpiła godna podziwu mobilizacja i społeczeństwo stawiało szalenie silny opór w okresie wojny. Natomiast PRL przyniósł demoralizację społeczeństwa, i to postępującą – w najróżniejszych dziedzinach. Wartości tradycyjne lekceważono, życie zmuszało ludzi do niezdrowych zachowań, na przykład w myśl hasła „czy się stoi, czy się leży, tysiąc złotych się należy” – co przyniosło upadek etosu pracy. Potem oczywiście nastąpił zryw Solidarności i wspomniały okres mobilizacji, zdeptany przez stan wojenny.

Damian Strzeszewski – Jeśli sięgamy tak daleko, do XVIII wieku, chciałoby się nawiązać do książki Jarosława Marka Rymkiewicza *Wieszanie*, która zawiera tezę, iż Polacy jako naród, społeczeństwo, rezygnując z królobójstwa na osobie Stanisława Augusta, stracili szansę na uzyskanie mocnej podmiotowości moralnej. Tę tezę na ogół mocno krytykowano, zjadliwie mówiąc o jej autorze, że rad by wszystkich wieszać. Jak Pan skomentowałby refleksje Rymkiewicza?

Kazimierz Orłoś – Moim zdaniem posunął się do przesady, stawiając tę efektowną tezę. Wiadomo, jaka była sytuacja geopolityczna. Biorąc pod uwagę rozpad wewnętrzny narodu, skłócenie, związane z wielonarodowym i wieloreligijnym charakterem Rzeczypospolitej, Polska po prostu nie mogła istnieć w otoczeniu dyktatur z trzech stron. Powtórzyło się to w XX wieku – dwa totalitarne systemy wyrosły z dwóch stron. Ta „dziecinna”, bałaganiarska Polska, zawsze pośrodku zdyscyplinowanych, rządzonych twardą ręką państw, nie miała szans. Wieszanie świadczyłoby raczej o anarchii i rozprzężeniu, natomiast nam brakowało dyscypliny, niezbędnej do budowy silnego państwa.

Damian Strzeszewski – Wysoko ocenił Pan dorobek dwudziestolecia międzywojennego. Jako pozytywne znamiona tamtego – bądź co bądź krótkiego – okresu wymienia się szczególnie szacunek dla państwa jako naczelnego dobra i pewien etos państwowej gospodarności, którego symbolami była między innymi Gdynia. Czy te dwie jakości uważa Pan za mocne determinanty historyczne, czy tylko za fantazmaty, za przedmiot mityzacji dokonywanej we współczesnym dyskursie politycznym?

Kazimierz Orłoś – Zapewne tendencja do mitologizacji odgrywa tu pewną rolę, ale wydaje mi się, że jednak po tych stu kilkudziesięciu latach niewoli tamte pokolenia odczuwały niesłychane pobudzenie patriotyczne, ich wola odbudowania państwowości była bardzo silna. I – co bardzo ważne – rola przewodnia inteligencji polskiej, warstwy wykształconej, wiernej dziewiętnastowiecznej patriotycznej tradycji powstańczej – była niekwestionowana. Sądzę, że w dyskusjach na temat polskości tkwi zasadniczy błąd: przyjmuje się punkt widzenia inteligencji, warstwy stojącej najwyżej. Natomiast w mniejszym stopniu bierze się pod uwagę warstwy robotników, chłopów – a dla nich właściwe są inne typy mentalności, inne sposoby patrzenia na świat. Odwołam się tu do stanowiska, jakie zajął ojciec profesor Józef Maria Bocheński w swoim artykule opublikowanym w „Kulturze” pod tytułem *Co to znaczy być Polakiem*. Być może już wcześniej ktoś doszedł do podobnych wniosków, ja jednak właśnie w tym tekście się z nimi zetknąłem; uderzyła mnie ogromna trafność spostrzeżenia, iż świadomość

narodowa bywa pełna lub niepełna – i świadomością pełną odznacza się warstwa inteligencji. Wykazuje ona znajomość historii, wszystkich uwarunkowań wewnętrznych, rozumie, co to jest geopolityka, uświadamia sobie wszelkie zagrożenia – i dlatego zupełnie inaczej patrzy na sytuację kraju. Co innego świadomość ludzi niewykształconych – tych żyjących na wsiach, w małych miastach, tych wszystkich z marginesu społecznego. Większość Polaków dysponuje oczywiście świadomością niepełną.

Damian Strzeszewski – Na czym ten deficyt polega?

Kazimierz Orłoś – Na uświadamianiu sobie jedynie wspólnoty miejsca, obyczaju i języka. Ojciec Bocheński cytował *Rotę*: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”. W tym się zamyka definicja świadomości narodowej niepełnej; ludzie, o których mówimy, wiedzą: tu jest ich miejsce, tu się urodzili, mieszkają, łączy ich wspólny język i religia. Za nieistotne zaś uznają wszystkie inne skomplikowane sprawy, których świadomi są inteligenci.

Damian Strzeszewski – Która z tych dwóch grup miała większą skłonność do polityczno-moralnego kompromisu? Myślę o latach PRL-u i mam na uwadze pewien konkretny moment, ale zacznijmy od uwag ogólnych.

Kazimierz Orłoś – Tu już wchodzimy na inny teren – dotykamy kwestii postaw polskiej inteligencji po wojnie i pójścia właśnie na kompromisy. Niektórzy za daleko zabrnęli w swojej akceptacji systemu narzuconego – ich postępowanie można oceniać w kategoriach zdrady. Natomiast rzeczywiście religia i poczucie własności ziemi chroniło chłopów od poddania się. Ta niepełna świadomość była tarczą.

Damian Strzeszewski – Ten konkretny moment, który sygnalizowałem w poprzednim pytaniu, to oczywiście Sierpień 1980. Do niego odnosi się znana teza Jadwigi Staniszkis, iż to właśnie swoiste ograniczenia mentalno-językowe młodych robotników, połączone z ich aspiracjami, spowodowały, że na początku ten ruch nie miał mechanizmów samoograniczających. Dawało mu to mocną pozycję w sporze z władzami PRL. To chyba harmonizuje z Pana rozpoznaniem?

Kazimierz Orłoś – Myślę, że tak. Ja zresztą spędziłem parę dni w Stoczni, pod koniec strajku. Było to dla mnie niesłychanie silne przeżycie. Wydaje mi się jednak, że w tym zrywie dominowały nie motywacje patriotyczne, a chęć przełamania ogromnej niesprawiedliwości społecznej, która przytłaczała uczestników protestu, zwłaszcza młodych robotników stoczniowych. Wtedy już jednak przybywały osoby z różnych stron, strajk się rozrastał. Dyscyplina jednakże panowała, uświadamiano też sobie zagrożenia – przynajmniej w gronie przywódców strajkowych i doradców. Ten ruch był pod kontrolą, nie wydawał się żywiołem.

Damian Strzeszewski – Ciekaw jestem, jak widzi Pan relacje jakkolwiek rozumianej polskości i paradygmatu środkowoeuropejskiego. Czy ta kategoria opisowa pomaga zrozumieć polskość? Czy jej zastosowanie wymaga jakiegoś zhierarchizowania trzech tradycji zaborowych, na przykład postawienia wyżej tradycji galicyjskiej? I jeszcze: jakie znaczenie miała tu historia PRL? Pytam o to, gdyż w autotematycznej *Historii „Cudownej meliny”* można przeczytać, że na budowie solińskiej zapory zetknął się Pan z inżynierami z Czechosłowacji – wówczas gdy wojska Układu Warszawskiego ruszyły na Pragę i Bratysławę.

Kazimierz Orłoś – Bez wątplenia południe Polski było inne. Bieszczady były specyficzne – bo jednak wyludnione, ze względu na tragiczną historię powojenną. Ukraińców – Rusinów, jak tam mówiono, nie było, ale stosunki polsko-ukraińskie to kwestia, która ciągle powracała w rozmowach z Polakami – mieszkańcami tamtych terenów. W Solinie poznałem Czechów – techników, inżynierów – montowali czeskie turbiny, produkujące potem energię elektryczną. Miałem wprawdzie z nimi tylko luźny kontakt, bo prowadziłem biuro prawne, natomiast moi przyjaciele, inżynierowie, zwłaszcza jeden z nich, mieszkający teraz w Ameryce, przez cały czas z Czechami współpracowali. Pamiętam dramatyczny moment w 68 roku, kiedy zaczęła się inwazja na Czechosłowację. Czesi solińscy wówczas zmienili się; wcześniej stanowili grupę ludzi wesołych, popijali trochę. Pamiętam ich przy radioodbiornikach i te dramatyczne głosy spikerów czeskich. Czasem koło nich stałem, żeby posłuchać.

Damian Strzeszewski – To ich odcięło od Polaków? Usposobiło nieufnie?

Kazimierz Orłoś – Nie, nie sędzę. Natomiast dało się zauważyć pomieszanie z poplątaniem w reakcjach polskich. Odegrała rolę oficjalna propaganda, która wtedy była bardzo natrętna, sposób przedstawienia najazdu na Czechosłowację, uzasadnianego rzekomym zagrożeniem niemieckim, fałszywe nuty patriotyczne itd. Sporo ludzi podatnych na takie argumenty przyjęło oficjalną wersję wydarzeń. Pamiętam jakieś dyskusje na ten temat.

Damian Strzeszewski – Przypomnieliśmy niektóre ogólne rysy polskości, dostrzegalne dziś. Jak do nich ustosunkowuje się współczesna literatura i jak winna się ustosunkowywać? Pytam o Pana rozczarowania i satysfakcje czytelnicze. Czy można dziś pokusić się o jakieś uogólnienia na temat krajobrazu literackiego, zgłosić generalne postulaty, oderwane od konkretnych nazwisk?

Kazimierz Orłoś – Przyznam się, że współczesną literaturę polską czytam tylko wrywkowo – od czasu do czasu. Trudno mi więc wypowiadać się na ten temat w sposób zdecydowany. Po prostu nie mam dobrego rozeznania. Podejrzewam jednak, że młodym autorom brak niezbędnego doświadczenia. Przychodzi ono z latami, z wiekiem – i nie ma na to rady. Oczywiście jeśli ktoś ma tak zwany talent, łatwość pisania, to bez trudu napisze książkę. Pytanie tylko: czy losy ludzi w niej przedstawionych będą wiarygodne, czy będą prawdziwe. Tutaj stawiam znak zapytania.

Damian Strzeszewski – Zawsze Pan podkreślał ten wymiar literatury. Na czacie przeprowadzonym przez Wirtualną Polskę w listopadzie 2001 wskazał Pan trzy zagrożenia, stojące zwłaszcza przed młodymi pisarzami: niebezpieczeństwo odejścia od życia, egocentryzm, a więc skupienie się na wymiarze indywidualnym i wreszcie skoncentrowanie się na stronie technicznej pisania kosztem treści. Stąd już tylko krok do pytania: czy literatura dzisiaj cokolwiek musi? Czy kategorię powinności warto dziś utrzymywać w mocy?

Kazimierz Orłoś – Można by tu przypomnieć charakterystyczny dla literatury XIX wieku nakaz pisania „ku pokrzepieniu serc”. Literatura powojenna także spełniała pewną powinność: opisanie lat wojny i okupacji, historii martyrologii

narodu. Myślę, że po drugiej wojnie światowej pisarze polscy, zarówno ci w kraju, jak i na emigracji, musieli opisać tę historię i dramatyczne losy wojenne wielu rodaków. Co innego my, młodszy pokolenie „Współczesności”, żyjący już w okresie pewnej stabilizacji i po obowiązującym w czasie stalinizmu „socrealizmie”. Należałem do tych, którzy odczuwali, przynajmniej od pewnego momentu, potrzebę przeciwstawienia się tej sytuacji, w jakiej żyliśmy: zniewoleniu społeczeństwa, narzuconemu systemowi, zakłamaniu, fałszowi, pozorom i fasadowości. Natomiast oczywiście w normalnej sytuacji, w jakiej żyjemy w tej chwili – w końcu żyjemy w normalnym, demokratycznym, wolnym kraju – te powinności już nie obowiązują; chyba że ktoś ma jakąś własną ideologię, którą chce szerzyć poprzez literaturę. Ale moim zdaniem teraz na plan pierwszy wysuwa się to, co zawsze zajmowało w literaturze najważniejsze miejsce: wiarygodny opis ludzkiego życia, losów ludzkich, egzystencji. Wiarygodny – to bym podkreślił bardzo mocno, bo w literaturze realistycznej każda fałszywa nuta jest od razu słyszalna.

Damian Strzeszewski – Jak więc skłonny byłby Pan traktować taki pogląd na świat, wedle którego nie sposób, pisząc o ludzkich działaniach, zbudować opowieści prawdziwej, pozbawionej interpretacyjnych naddatków, niezdeterminowanej przez interesy indywidualne, instytucjonalne lub zbiorowe? Taki pogląd przyświeca wielu pisarzom i teoretykom literatury, i wielu prozaikom; ma się wyrafinowanych technik pisarskich, dalekich od repertuaru środków wielkiego realizmu, by tę naturę opowieści jako takiej uchwycić.

Kazimierz Orłoś – Ja bym to ostrożnie traktował – z nieufnością. Uważam, że ogląd rzeczywistości ma charakter subiektywny i w każdym pisaniu ten subiektywizm się ujawnia, ale prawda jest jedna. Nie można zafałszować obrazu rzeczywistości w jaskrawy sposób, bo ta interwencja będzie widoczna. Jako realista jestem w jakiś sposób uczulony na te sprawy i rażą mnie pewne – delikatnie mówiąc – niedokładności w prozie, którą czytam. Zdarza się, że autor nazywa statek, który płynie rzeką, okrętem; nie, okręty – wojenne – są na morzu. To błąd. Dalej, ktoś na przykład pisze, że w ogrodzie w mieście, jesienią śpiewa

wilga. Nie, nonsens, bo wilgi śpiewają w lasach i na wiosnę. Poza tym rażą mnie literackie uduśniania, pewne dodatki – które opatruje się etykietką magicznego realizmu. Być może wynika to z tego, że wychowywałem się czytając głównie wielkich realistów. Jeżeli więc autor wprowadza do powieści realistycznej jakieś zupełnie wymyślane sytuacje – powiedzmy, narrator orientuje się raptem, że wszyscy obecni na jakimś spotkaniu w czasach stalinowskich nie wiadomo dlaczego noszą maski – to mnie to razi i nic na to nie poradzę. Stwierdzenie Józefa Mackiewicza, że jedynie prawda jest ciekawa, to rzeczywiście klucz do literatury realistycznej.

Damian Strzeszewski – Tego typu środki artystyczne używane są często w tych formach narracyjnych, dla których kategorią centralną jest lokalność: w opowieściach o Kolonii Wileńskiej (Tadeusza Konwickiego), w opowieściach o Gdańsku (Pawła Huellego). Ważniejsze pytanie, jakie się wiąże z tego typu twórczością, brzmi tak oto: czy ów zwrot ku lokalności, istotny dla prozy lat 80. ubiegłego wieku, to forma uchylecia się od nakazu wymierzenia sprawiedliwości Polsce Jaruzelskiej, czy raczej przejaw poszukiwania prawdy istotniejszej, wyższej o własnej biografii i życiu społecznym. Jak oceniałby Pan tę twórczość?

Kazimierz Orłoś – Tę, w której są elementy realizmu magicznego?

Damian Strzeszewski – Tę nakierowaną na lokalność. Często korzysta ona z takich chwytów.

Kazimierz Orłoś – U Huellego pojawia się to – w *Weiserze Dawidku*, zresztą bardzo podobała mi się ta książka. Nie chciałbym jednak oceniać. Sam tych środków nie stosuję, nie ma wymienionych elementów w mojej twórczości poza jakimiś drobiazgami.

Damian Strzeszewski – Jednak *Dziewczynę z ganku* niejednen czytelnik skojarzyć może właśnie z takimi narracjami lokalnymi.

Kazimierz Orłoś – Tak, ale podejmując taki temat, nie zastosowałem tam literackich uduśniania – to proza realistyczna, bez niezwykłych dodatków.

Damian Strzeszewski – Operuje tam Pan jednak skalą lokalną, nie makro. Czy sądzi Pan, że u innych twórców jej wybór miał na celu zbliżenie się do realności, czy raczej ucieczkę od odwiecznych polskich pytań?

Kazimierz Orłoś – Nie sądzę, aby to była ucieczka od polskich pytań. Po prostu: wybieramy taką formę opisu rzeczywistości, jaka nam odpowiada, jest bliska. Wybór wynika chyba z potrzeby opisanego – przede wszystkim – ludzkiego losu, niezależnie od miejsca, gdzie wydarzenia się rozgrywają. W skali mikro, czy makro – to mniej istotne.

Damian Strzeszewski – Zadałem to pytanie także dlatego, że te Pana utwory, które szczególnie mocno są osadzone w lokalności, wysoko oceniają przedstawiciele – tak to określimy – głównego nurtu krytyki. Co ciekawe, o mazurskich opowiadaniach bardzo życzliwie pisał Andrzej Lam, który kiedyś najwyraźniej mniej zalet dostrzegł w *Cudownej melinie*, skoro jako Przewodniczący Komisji Interwencyjnej przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich nie interweniował na Mysiej w sprawie wydania tej powieści. Ciekaw jestem, jak Pan sam z dzisiejszej perspektywy ocenia, periodyzuje i hierarchizuje swój dorobek. Które dzieła uważa Pan za najważniejsze, przełomowe, a które za najbardziej własne? Przyznaję, to trochę nieelegancko stawiać pisarzowi takie pytania...

Kazimierz Orłoś – Wydaje mi się, że ważną cezurę wyznacza *Cudowna melina*. W tamtej sytuacji, w rzeczywistości PRL-u, doszedłem do takiego momentu, kiedy już wiedziałem – znając zresztą realia, to życie, w którym uczestniczyłem przez kilka lat w Solinie – że trzeba przełamać zakazy. Pierwszy raz odczułem obecność cenzury. Przywiązywałem dużą wagę do *Cudownej meliny*, to była moja pierwsza powieść. Krótka powieść, którą napisałem z przekonaniem, że odpowiadam na zamówienie społeczne, że w tym, co robię, mam słuszość. I nagle okazało się, że krytyka ukazanego tam sekretarza partii jest absolutnie niemożliwa. Wydanie książki u Giedroycia wywołało oczywiście konsekwencje, które przez szereg lat odczuwałem: znikłem jako autor w kraju, nie mogłem funkcjonować normalnie. Jednak tego nie żałuję, przeciwnie, uważam tamten cały

okres za ważne doświadczenie życiowe. Odrzucenie cenzury w tamtych warunkach – zwłaszcza autocenzury, bo to należy podkreślić – było, jak sądzę, bardzo ważne. *Cudowna melina* zatem stanowiła niewątpliwie punkt przełomowy. A potem, już po roku 1990 – powstała zupełnie inna sytuacja; wyszedł *Niebieski szklarz*, który jest w jakimś stopniu spojrzeniem wstecz...

Damian Strzeszewski – Wydaje się zwornikiem między opowieściami o PRL a prozą wolną od ściśle politycznych uwikłań.

Kazimierz Orłoś – ... a potem *Drewniane mosty* – bo *Zimna Elka* to zbiór różnych opowiadań, z różnych okresów. Ale *Drewniane mosty* to już proza mazurska i próba – jak to Pan określa – skupienia się na wymiarze lokalnym, na tej małej ojczyźnie, w którą wrosłem. Ostatnio zaś wyszedł tom *Dziewczyzna z ganku*, w którym staram się oddać sprawiedliwość Mazurom, mieszkańcom tej krainy. Znam Mazury od dziecka. Z chłopcami w moim wieku bawiłem się, łowiłem ryby, grałem w piłkę – po wojnie, w roku 48 i później. Otworzył się tam dla mnie niezwykle świat: jako dziecko wojny nagle znalazłem się w bajkowym zupełnie otoczeniu, na tych Mazurach, pustych wtedy jeszcze, zupełnie innych niż dziś. To było bardzo dla mnie ważne, by tam wracać i losy tych ludzi przedstawić.

Damian Strzeszewski – Muszę powiedzieć, że nie odrzucałbym takiego uszeregowania Pańskiej twórczości, wedle którego bardzo wysoko znalazłyby się opowiadania *Domek drwali*, *Drzewo Pana Jezusa*, w moim przekonaniu artystycznie wybitne, natomiast gdzieś niżej – ów potrzebny wówczas tryptyk powieściowy. Z rozmowy tej wynika jednak, że łączy Pan profesję pisarza z pewnymi powinnościami, wymogami rzetelności, odpowiedzialności. Swoją wymowę ma w tym kontekście szereg Pana publicznych wypowiedzi: rezygnacja z udziału w kapitule Nagrody im. Józefa Mackiewicza po antysemickich wypowiedziach zasiadającego w niej Stanisława Michalkiewicza, czy podpis pod listem w obronie doliny Rospudy. Czy istotnie rolę pisarza uważa Pan za społecznie doniosłą, widzi w literacie nie wykonawcę literatury, a nieledwie demiurga zbiorowej wyobraźni, depozytariusza pewnych wartości?

Kazimierz Orłoś – Bardzo pięknie Pan to określił, ale dostrzegam w tym jednak pewną przesadę – bo obecnie rola pisarzy w społeczeństwie wydaje mi się coraz mniej istotna, coraz mniej pisarze są potrzebni. Rozwój wiedzie w inną stronę, na boczny tor schodzi literatura i czytanie książek, a na plan pierwszy wdziera się kultura obrazkowa – z telewizją, z komputerami, z Internetem. Oczywiście w ważnych sprawach zabierają głos rozmaici ludzie – myślę, że nie tylko pisarze, także publicyści, ci wszyscy, którzy tak nieładnie zostali określani mianem łże-elit. Myślę, że na pewne istotne sprawy, na negatywne zjawiska w życiu społecznym stale trzeba zwracać uwagę, być uczulonym. Jeśli następuje teraz tak straszna wulgaryzacja języka, zwłaszcza tego, którym mówi młode pokolenie, ale i niektórzy pisarze w wystąpieniach publicznych chętnie używają wulgaryzmów, jeśli obserwujemy wybuchy straszliwej agresji – szalikowców, te zjawiska niepokoją. Dalej, narkotyki, alkoholizm – wszystkie patologie społeczne. Sprawa ochrony przyrody, na co rządzący nie zwracają żadnej uwagi, jest także jednym z tych problemów, o których trzeba przypominać.

Damian Strzeszewski – Jakie instancje mogą tu pomóc, jeśli pisarze ulegają wyraźnej marginalizacji i tracą wpływ na wyobraźnię zbiorową (nie mówiąc o systemach normatywnych), rugowani ze sfery komunikacji publicznej przez sformatowane programy telewizyjne czy reprezentantów interesów politycznych. Mówiąc wzniośle: w kim nadzieja?

Kazimierz Orłoś – Moje prognozy są pesymistyczne. Nie widzę w tej chwili perspektyw zmiany. Brak w Polsce wzorów. Ten brak nie pozostaje bez wpływu na społeczeństwo, zwłaszcza na młode pokolenie. Tu już dotykamy polityki. Czy możemy i te kwestie poruszyć?

Damian Strzeszewski – Nie widzę przeciwwskazań.

Kazimierz Orłoś – Otóż przed wyborami w 2005 roku wielu z nas żywiło nadzieję, że naprawa Rzeczypospolitej pójdzie w dobrym kierunku, że zostaną wreszcie odsunięci ze sceny politycznej spadkobiercy PRL, zniknie ostatecznie to, co utożsamiano z aferą Rywina, z grupą trzymającą władzę, to, co kompromitowało życie polityczne, budziło ogromny sprzeciw. Nastąpiło

zaprzepaszczenie tej szansy poprzez wejście partii braci Kaczyńskich w koalicję z Lepperem, oparcie się na Rydzyku, na Giertychu – na tych osobach, które kompromitują wszelkie polityczne przedsięwzięcia. Dla mnie są one postaciami zdecydowanie negatywnymi. Jak silnie to oddziałuje na sferę społeczną, na młodych ludzi, jaki jest negatywny wpływ na życie społeczne – można sobie wyobrazić. To jest szkoła cynizmu, cwaniactwa, lekceważenia innych, nienawiści – bo ten język, którym posługuje się Tadeusz Rydzyk, uważam za coś niesłychanego.

Damian Strzeszewski – Podzielam Pana opinię, ale proponuję, byśmy odłożyli na razie temat funkcjonujących społecznie języków. Wróćmy do przestrzeni komunikowania się. Chciałbym spytać o dość nowe zjawisko, które wiąże się z postępem technologicznym, mianowicie o niezwykle łatwość autoekspresji, publikowania. Można wyrazić siebie poprzez pamiętniki internetowe, czyli blogi, można wyprodukować wielką ilość materiałów o cechach reportażu – nagrania wideo, zdjęcia cyfrowe – i opublikować to wszystko w Internecie. Czy w tej nadprodukcji amatorskiej twórczości dostrzega Pan zalew słów, zalew znaczeń, powodujący chaos, czy przeciwnie: wartość?

Kazimierz Orłoś – Ja od razu muszę zastrzec, że ja tego nie znam. Posługuję się starą maszyną do pisania, a nie komputerem, za co krytykują mnie dzieci i wnuki. Nie mam kontaktu ze światem wirtualnym. Obserwuję co innego: określiłbym to jako zalew literatury komercyjnej, która wypiera literaturę piękną. Tu jest dla mnie zjawisko niepokojące.

Damian Strzeszewski – Fundamentalnym walorem Pana twórczości wydaje mi się jej ascetyczność, umiejętność wydestylowania znaczeniowego koncentratu – która sprawia, że nawet małe narracje są niezwykle sugestywne i w jakimś ważnym sensie pełne. Stąd moje pytanie o nadmiar.

Kazimierz Orłoś – Na pewno daje się zauważyć słowotok, występujący także w literaturze – i to wydaje mi się zjawiskiem trochę niepokojącym, świadczącym o tym, że tradycyjna literatura piękna jest w odwrocie, ustępuje miejsca czytadłom, pojawiającym się w nadmiarze. Tam występują te negatywne cechy: egocentryzm,

gadulstwo. Poza tym dochodzi do tego kalkulacja autora i wydawcy. Także czytając książki z nieco wyższej półki, mam czasem wrażenie, że autorzy piszą pod krytykę, orientują się na poprawność literacką. Według mnie istnieje coś takiego jak poprawność literacka.

Damian Strzeszewski – Niewątpliwie. Dotyczy to wszystkich poziomów literatury, łącznie z tymi wyższymi. Wystarczy przywołać zwyczaj pewnego pisarza, który profiluje swoje powieści wedle horyzontów poznawczych publiczności literackiej w zaprzyjaźnionym kraju, w którym książki te mogą liczyć na poczytność ze względu na dwuznaczne sentymenty pewnej grupy odbiorców.

Kazimierz Orłoś – Właśnie. To są te negatywy.

Damian Strzeszewski – Jeszcze z jednego względu pytałem o tę internetową nadprodukcję. Tradycyjne techniki fonograficzne, fotograficzne i audiowizualne ustępują technikom cyfrowym, stosunkowo tanim, łatwym. Grzęźniemy w świecie wirtualnym, nierzeczywistym, nawet na poziomie wrażeń estetycznych i – dodajmy – erotycznych: uprzywilejowaną formą relacji damsko-męskich staje się czat. Do czego zmierzam: może te zjawiska stanowią najbardziej istotne znamię współczesności i może po części dlatego niektórzy pisarze wybierają rozmaite uduchnienia artystyczne, uciekają od tradycyjnego realizmu, aby wiernie pokazać naturę czasów?

Kazimierz Orłoś – Być może, nie wiem. Dostrzegam jeszcze inne niebezpieczeństwo, zwłaszcza dla młodych autorów, pozbawionych bagażu doświadczeń życiowych, autorów, którzy żyją zbyt krótko, by czerpać z własnych obserwacji – co jest dla realistów bardzo istotne. Otóż mając łatwość pisania, można bez trudu czerpać z literatury. Powstaje wówczas zamknięty krąg. Gdy już zaczynam czytać te pośpiesznie powstałe powieści, mam często wrażenie *deja vu*. To jest powielanie, przetwarzanie schematów, powtórzenie tego, co już było w literaturze. Powstaje literatura z literatury, nie literatura z życia.

Damian Strzeszewski – O zabiegach intertekstualnych można długo dyskutować. Czy jednak w pewnym stopniu nie dotyczy to też Pana twórczości? Chciałbym mianowicie spytać o silne nacechowanie etyczne wielu narracji. Jeśli

idzie o literackie inspiracje, wymieniał Pan wielkich rosyjskich realistów, ale też przypominał lektury z dzieciństwa – powieści przygodowe. Czy istotna rola motywu walki dobra ze złem w Pana powieściach i opowiadaniach wiąże się z wpływem wielkiej literatury rosyjskiej (która wszak oferowała jeden z kluczy do PRL-owskiej rzeczywistości zdominowanej), czy z przejrzystością aksjologiczną świata powieści przygodowej?

Kazimierz Orłoś – Myślę, że brało się to jednak nie ze wzorów literackich, ale po prostu z oglądu rzeczywistości, w jakiej żyliśmy, z wyczulenia na pewne sprawy. Ten obraz rzeczywistości – jak mi się zawsze wydawało – dość wiernie starałem się przedstawić. Wykorzystałem mnóstwo szczegółów autentycznych, historii, które faktycznie się wydarzyły – tak było, ja tego nie wymyśliłem. Afery miały przebieg taki, jak opisałem, portrety ludzi odpowiadają sylwetkom osób, które spotkałem. Także ich sposób mówienia – poza *Przechowalnią* może – był autentyczny. Również odwieczne starcie dobra ze złem, jak mi się wydaje, wzięłem z życia, tak wówczas rzeczywiście było. Wspomniał Pan o opowiadaniu *Drzewo Pana Jezusa*; pokazaną w nim sytuację, pamiętam, opisano w jakimś reportażu prasowym, wtedy dość głośnym. Dziewczyna szła od drzwi do drzwi, szukała w podmiejskich domkach ratunku przed bandą git-ludzi, ale nikt nie chciał jej pomóc. W końcu została zgwałcona.

Damian Strzeszewski – Włożenie w usta gwałcicieli języka rodem z trybuny partyjnej było już elementem dodanym?

Kazimierz Orłoś – To był dodatek, ale wtedy tak sobie wyobrażałem tę scenę. Uznałem to za możliwe. Git-ludzie mogli być cyniczni, pozbawieni skrupułów, ale również inteligentni.

Damian Strzeszewski – Więc ta wizja manichejska jest z życia wzięta. Spytam więc o inne, właśnie życiowe, biograficzne inspiracje w Pana twórczości. Interesuje mnie szczególnie okres spędzony w warszawskim Gimnazjum imienia Tadeusza Reytana. Równocześnie z Panem uzyskał tam maturę w Piotr Wierzbicki...

Kazimierz Orłoś – Chodziliśmy do jednej klasy.

Damian Strzeszewski – Cztery lata później ukończył szkołę Jakub Karpiński, nieco wcześniej – Dariusz Fikus, mniej więcej w tym czasie Janusz Onyszkiewicz. Z wymienionych osób dwie zalicza się do ważniejszych badaczy peerelowskiej nowomowy. Ciekaw jestem, czy coś było w duchu Reytana, co uformowało Pana w istotny sposób. Jak Pan dziś to postrzega?

Kazimierz Orłoś – Bardzo dobrze wspominał okres nauki w gimnazjum imienia Tadeusza Reytana. Była to szkoła w jakiś sposób niezwykła w tamtych czasach, w okresie przecież najgorszym, stalinowskim – zdawałem maturę w roku 1953, w roku śmierci Stalina. Wychowywali nas jeszcze nauczyciele przedwojenni. Gdy przyszedłem do szkoły, kierował nią profesor Stanisław Ostrowski, który uczył nas łaciny. Pamiętam takie wydarzenie – o tym już gdzieś mówiłem, ale wspomnienie pozostaje na całe życie: dyrektor, starszy pan z brodą zgromadził na dziedzińcu nas, tych młodych chłopców, a chodziliśmy wtedy do ósmej klasy. Powiedział: „Stała się rzecz straszna, coś strasznego – mianowicie uczeń z naszej szkoły (tu wywołał chłopaka z mojej klasy) przeszedł przez mur na sąsiednią posesję i kradł owoce”. Jaki to miało walor wychowawczy! Kto dzisiaj na taką rzecz zwróciłby uwagę?

Damian Strzeszewski – Ciekaw jestem, jak Pan musiał wówczas odbierać wizję szkoły zawartą w *Obywatelach* Kazimierza Brandysa, z kolektywem zetempowskim i uświadomionymi nauczycielami jako depozytariuszami jedynej racji.

Kazimierz Orłoś – Rano odmawialiśmy modlitwę w klasie, po czym szliśmy na korytarz i śpiewaliśmy *Hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej*: „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew, pieśni zew, pieśni zew...”, przy czym kończyliśmy zawsze takim mocnym „efff” – i to była forma sprzeciwu. Ale nie odczuwaliśmy atmosfery stalinowskiej w tej szkole. Chociaż oczywiście krzyż umieszczono gdzieś z boku, a nad stołem nauczyciela wisiały portrety: Stalina, Bieruta i Rokossowskiego. Ale myśmy się tym zupełnie nie przejmowali. Nie zastanawiałem się, że chodzę codziennie obok więzienia mokotowskiego, wzdłuż jego murów. Tam więziono dwie kuzynki mego ojca i jego brata ciotecznego.

Jednak dopiero później stopniowo docierała do mnie groza tamtych lat. Mój świat był wtedy światem zabawy i sportu.

Damian Strzeszewski – Mimo wszystko istniała zatem jakaś przestrzeń wolności?

Kazimierz Orłoś – Tak, chociaż w pewnym momencie pojawił się nauczyciel przysposobienia wojskowego, którego nazwaliśmy „Krecia Robotą” – od zbitki słownej, jakiej często używał. Wydawał się nam człowiekiem z innego świata, śmieszył nas. Śmieszyły nas różne elementy tamtej rzeczywistości: pamiętam, że gdy na lekcji omawialiśmy książki pisarzy socrealistów i czytaliśmy fragmenty tych utworów głośno, klasa ryczała ze śmiechu. To był dla nas inny język. Śmieszny.

Damian Strzeszewski – Muszę powiedzieć coś przygnębiającego: wielu moich studentów to już nie śmieszy. Ten język zatracił czytelność, odniesienia historyczne uległy zatarciu. Jak rozumiem, Pana i przyjaciół połączył pewien kod porozumienia, mający charakter antysystemowy?

Kazimierz Orłoś – Tak. To się ujawniało w naszych rozmowach. Jednocześnie oczywiście braliśmy udział w szkolnych uroczystościach. Na mnie to robiło wrażenie fasady. Chociaż pamiętam Dariusza Fikusa w czerwonym krawacie, bo on był chyba przewodniczącym ZMP w szkole.

Damian Strzeszewski – „Czarną Jedynekę” reaktywowano dopiero w drugiej połowie lat 50.?

Kazimierz Orłoś – Tak, już po Październiku.

Damian Strzeszewski – Właśnie, jak Pan odebrał Październik?

Kazimierz Orłoś – Wówczas już studiowałem, na pierwszym roku prawa – ponieważ po maturze przez dwa lata nie dostałem się na uniwersytet, nie należałem do ZMP i to w jakiś sposób na pewno zaciążyło. Aura polityczna Października była niezwykła. Pamiętam wiece na Politechnice. Atmosferę entuzjazmu, ale także niepewności i grozy. Wtedy już brat mojej matki, Stanisław Cat-Mackiewicz, był w Polsce i pamiętam, jak przyszedł do nas na Rakowiecką (wówczas mieszkalem z rodzicami w małym mieszkaniu na Rakowieckiej), przerażony, ponieważ wracał

samochodem do Warszawy, chyba z Katowic i przejeżdżał obok długiej kolumny czołgów sowieckich, które posuwały się ze Śląska, być może z baz koło Legnicy. Jednocześnie jednak zupełnie zmienił się klimat na uczelni – przypominam sobie rozmowy na temat bieżących wydarzeń. Asystenci, którzy wydawali się wcześniej bardzo propartyjni, nagle zmienili front – to uderzało.

Damian Strzeszewski – Czy w którymś momencie pojawiło się w Panu przekonanie, że warto w jakimś zakresie uwierzyć temu partyjnemu przekazowi, dać kredyt tej rzeczywistości?

Kazimierz Orłoś – Jeśli – to w Październiku, w momencie, kiedy Gomułka doszedł do władzy, kiedy przewrócił się stalinowski system. Kiedy już było wiadomo o XX Zjeździe, o referacie Chruszczowa. Wtedy chyba drukowano, zdaje się w „Polityce”, w odcinkach *Jeden dzień Iwana Denisowicza* Sołżenicyna. To było niezwykle. Ja należałem niewątpliwie do tych ludzi, którzy wówczas uwierzyli, że można coś tutaj zmienić, że jest możliwy socjalizm z ludzką twarzą.

Damian Strzeszewski – Zaryzykowałbym tezę, że Pański protest przeciwko tamtej rzeczywistości, wpisany w późniejsze utwory, nie byłby tak naładowany emocjami i silny, gdyby wcześniej ten moment zawierzenia się nie pojawił.

Kazimierz Orłoś – Bardzo możliwe, tak.

Damian Strzeszewski – Pisał Pan też o tym, że uwierzył słowom Gierka, okazującego wzruszenie w grudniu 1970, uwierzył Pan, że da się w jakimś zakresie rozliczyć patologie okresu gomułkowskiego. Taka była geneza *Cudownej meliny*, z którą udał się Pan początkowo do państwowego wydawcy.

Kazimierz Orłoś – Tak.

Damian Strzeszewski – Szukając w Pana wcześniejszym dorobku jakichś śladów dystansu wobec tej ponawianej wielkiej obietnicy, natrafiłem na opowiadanie *Wyspa* z tomu *Między brzegami*. W utworze tym niczym zaklęcie pojawiają się – i powtarzają – słowa kolegi głównego bohatera o legendarnej zgoła wyspie, na której ludzie są piękni, zdrowi; tam chłopcy chcieliby popłynąć balią. Czy to po prostu melancholijna impresja czy zakodowany wyraz politycznych wątpliwości?

Kazimierz Orłoś – Nie, to raczej impresja, bez żadnego związku z sytuacją polityczną.

Damian Strzeszewski – Zapytam więc teraz o to, co wydaje mi się kluczowe: czy wkładając w usta gwałcicieli mowę partyjną (w *Drzewie Pana Jezusa*), a w usta meneli z *Przechowalni* – strawestowany *Manifest komunistyczny*, świadomie chciał Pan dokonać swoistego świętokradztwa, aktu rytualnego? Czy szło o to, by ów zsakralizowany oficjalny język, roszczący sobie pretensję do bycia ponad wszelkie inne języki, wyszargać w błocie, spostponować?

Kazimierz Orłoś – Ja myślę, że należy to traktować raczej jako szyderstwo, element satyryczny. Nie ma tu mojej intencji, by dokonać jakiegoś szczególnego zabiegu. Tak mogło być: ci bohaterowie są dalece zdemoralizowani, ale jednocześnie szydzą trochę z tej rzeczywistości, w jakiej przyszło im żyć, z języka, który mogą znać z rozmaitych sytuacji, w jakich się znaleźli, bądź z prasy.

Damian Strzeszewski – Można zatem mówić tu o obserwacji realisty, dostrzegającego, że powszechnie odczuwana jest pustka semantyczna oficjalnego języka? Nie idzie tu o świadome skonstruowanie takiej figury literackiej, która byłaby gromkim głosem protestu wobec tej rzeczywistości?

Kazimierz Orłoś – Nie, powiedzmy, że to taki ozdobnik – i nie całkiem nieprawdopodobny. Wydawało mi się, że inteligentny git-człowiek mógł sobie wymyślić tego rodzaju językową zabawę i przemawiał oficjalnym językiem do kolegów, by ich rozśmieszyć. Podobnie z *Manifestem w Przechowalni* – to też element satyryczny. Drętwej mowy używa tam były członek partii, wyrzucony za pijaństwo, ale ciągle wierzący marksista.

Damian Strzeszewski – Od kiedy zaczął Pan traktować ten język jako fundamentalny element rzeczywistości, mocno dokuczliwy, coś, z czym warto literacko zagrać?

Kazimierz Orłoś – Przez szereg lat żyjąc w PRL i czytając prasę, słuchając radia, oglądając dzienniki telewizyjne, irytowałem się. Ten język budził sprzeciw i irytował.

Damian Strzeszewski – W niektórych wspomnieniach pojawiają się wyznania, że to nagonka antysemityczna i antyinteligentka z 1968 roku stanowiła punkt, w którym nagle i ostatecznie utracił swój powab ustrój sprawiedliwości społecznej i jego język.

Kazimierz Orłoś – Ja myślę, że należy tego szukać wcześniej, przecież język z czasów stalinowskich był zupełnie obłądny, przesycony nienawiścią, śmieszny i straszny. Natomiast oficjalny język w czasach Gomułki czy Gierka czy później, choć bardziej suchy, też był całkowicie oderwany od rzeczywistości. Wykreowano sztuczny twór, którym urzędnicy od propagandy posługiwali się, w prasie, w radio i w telewizji. Ten język był wszędzie obecny.

Damian Strzeszewski – A czy jakieś teksty literackie stymulowały Pana zainteresowanie nowomową? *Apelacja* Andrzejewskiego? Opowiadania Mrożka? Czy po prostu to był napór rzeczywistości?

Kazimierz Orłoś – Nie, to był raczej napór rzeczywistości. Przy czym wydawało mi się to tak istotnym elementem tej rzeczywistości, że nie można było udawać, że tego języka nie ma.

Damian Strzeszewski – Podkreślał to Pan w *Historii „Cudownej meliny”*, pisząc: „Los ofiarował nam szansę. Nigdy w historii ludzkości nie było tak kunsztownie rozbudowanej fikcji, tak wielkiej atropy rzeczywistości obok tej, w jakiej człowiek naprawdę żyje. Nigdy nie zbudowano tak ogromnego aparatu przemocy tylko po to, aby zmusić ludzi do życia w tym świecie pozorów. Dostrzeżenie tego, opisanie, protest – oto w czym widzę obowiązek piszących realistów. Wszystko poza tym może być tylko zabawą w literaturę”.

Kazimierz Orłoś – Wykorzystałem to w *Przechowalni*, która jest napisana właściwie tym językiem...

Damian Strzeszewski – ... który ogarnia tam wszystkie poziomy tekstu, po wypowiedzi narratora i tytuły rozdziałów.

Kazimierz Orłoś – Znalazł się tam rozdział, w którym przedstawienie dwóch dygnitarzy, sekretarza partii i komendanta milicji w miasteczku, polega na – rozciągniętym na wiele linijek tekstu – wymienieniu wszystkich licznych funkcji,

jakie sprawują oni w rozmaitych instytucjach (i uzupełniają się w sposób krzyżowy: dyrektor instytucji A jest wicedyrektorem instytucji B, zaś szef instytucji B – wiceprezesem instytucji A); tak wówczas informowano w „Trybunie Ludu” o zmianach kadrowych – wyliczając wszystkie godności nominowanego. Ja to wykorzystałem.

Damian Strzeszewski – Śledząc jeszcze inne zapożyczenia, chciałoby się spytać: czy *Trzecie kłamstwo* było świadomym nawiązaniem do tematyki i poetyki powieści produkcyjnej?

Kazimierz Orłoś – Nie, nie. Opisałem autentyczną sytuację. I ten pozytywny bohater, młody inżynier...

Damian Strzeszewski – Michał Radecki.

Kazimierz Orłoś – ...to jest mój przyjaciel, z którym zresztą cały czas utrzymujemy kontakt.

Damian Strzeszewski – Czy ten przyjaciel wyemigrował, podobnie jak bohater powieści – co Autor sugeruje?

Kazimierz Orłoś – Tak, wyemigrował, przebywał jakiś czas we Francji, później w Ameryce, znów we Francji. Ale wrócił do Polski. W Solinie pracowałem w biurze prawnym inwestora, on zaś u wykonawcy i ja mu pomagałem wówczas, gdy usiłowano go wyrzucić z pracy. Tak było, gdy przeciwstawił się nadużyciom. Opis zebrania, na którym rada robotnicza w głosowaniu podejmuje niekorzystną dla niego decyzję, to wierne odwzorowanie autentycznej sytuacji: jego przyjaciele, znajomi podnieśli ręce. Wszyscy głosowali za wnioskiem o wyrzucenie go z pracy. Ze strachu, z oportunistycznym, dla świętego spokoju.

Damian Strzeszewski – Czy młody bohater powieści, który uległ kooptacji, Witold Szaryński, też odpowiada autentycznej, znanej Panu osobie?

Kazimierz Orłoś – To raczej zlepek różnych postaci. Jest jednak w *Trzecim kłamstwie* sporo ludzi i historii wziętych z życia. Historia kierowcy na przykład.

Damian Strzeszewski – Franka Cudały? Muszę powiedzieć, że scena katastrofy drogowej, spowodowanej przez tego pijanego szofera z budowy, jest

niezwykle przejmująca. Proporcja użytego materiału językowego do uzyskanego efektu wydaje się mistrzowska.

Kazimierz Orłoś – Mówiliśmy o socrealizmie. Niektórzy krytycy wysuwali zarzut, że utwory takie jak *Trzecie kłamstwo* to socrealizm *au rebours*. Uważam ten zarzut za śmieszny. Moim zdaniem postawili go ludzie, którzy nie znali tamtej rzeczywistości.

Damian Strzeszewski – Przemysław Czapliński – który tak kwalifikuje wspomniane utwory – przyznawał się do chodzenia na demonstracje i wykrzykiwania „Gestapo! Gestapo!” w stronę zomowców.

Kazimierz Orłoś – Ale w których latach?

Damian Strzeszewski – Jak mniemam, w latach 80.

Kazimierz Orłoś – Ale nie w 1956 roku – w październiku ani w 1970, w grudniu, na Wybrzeżu. Jest człowiekiem stosunkowo młodym. Polski Gomułkowskiej, Polski Gierkowskiej autorzy tezy o socrealizmie *au rebours* dokładnie nie znają. Nie przeżyli tamtych czasów. Przyjmowano wówczas konformistyczne postawy, nie brakowało ludzi, którzy całkowicie dobrze urządzali się, odrzucając wszelkie moralne zasady. Weźmy to, co Barańczak ujął w tytule wiersza: *Nas to nie dotyczy*. Byli tacy ludzie, których „to” nie dotyczyło. Zresztą po wydaniu *Cudownej meliny* u Giedroycia często pytano mnie: czy słusznie, po co to było, co zyskałeś na tym?.

Damian Strzeszewski – Znamienne. Skoro padło nazwisko Przemysława Czaplińskiego, prosiłbym, aby ustosunkował się Pan do tez zawartych w głośnym artykule tego badacza, zatytułowanym *Wojna o PRL* i opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” z 6 maja tego roku. Tutaj posłużę się cytatami, które oddają chyba istotę jego wyводу. Powiada Czapliński: „Mówiąc prosto: opowiadamy o PRL-u i o sobie w nim po to, by wyznaczyć swoją pozycję w sporze o PRL i swoje miejsce w postkomunistycznej Polsce. Nie spieramy się o wizerunki dawnego świata, lecz o dzisiejsze konsekwencje, które z nich wynikają. Nawet bowiem jeśli niewielu z nas ponosi odpowiedzialność za PRL, wielu może odczuć skutki cudzego wyobrażenia i cudzej narracji o PRL-u. Właśnie ze względu

na te konsekwencje – rozumiane prawnie i symbolicznie – wojna o PRL stała się wojną o niewinność”. Sugeruje więc Czapliński, iż operujemy wizerunkami PRL po to, by zaznaczyć swoją przynależność do jednego z dwóch obozów, które toczą ze sobą wojnę kulturową, jak to ujmuje Andrzej Zybertowicz. Jeszcze jeden cytat z Czaplińskiego: „W imieniu tego właśnie Trybunału [wyborców – D.S.] ułożono najprostszą opowieść o PRL-u – narrację, która uwzględnić miała podmiotowość milczącej większości. Ale uznanie podmiotowości w odniesieniu do sprawy PRL-u wymagało przypisania milczącej większości jakiegoś udziału w pokonaniu tamtego państwa. Tymczasem w wyobrażeniu populistycznych opowiadaczy (przez co rozumiem zarówno pisarzy, jak i polityków, bo w końcu jedni i drudzy układają jakieś narracje) społeczeństwo przeczekalo komunizm – chodząc do pracy i do kościoła, wychowując dzieci, izolując się od polityki. Aby uznać, że taka właśnie bierność pokonała PRL, trzeba wytłumić wszelkie inne aktywności – opozycyjną, kulturalną, intelektualną. Trzeba je pomazać podejrzeniem o kolaborację miękką lub twardą”. Powiada więc badacz: niektórzy uczestnicy debaty publicznej, aby schlebiać wyborcom, obrzucają błotem opozycjonistów, sugerując, że ci ostatni kolaborowali – wówczas bohaterem pozytywnym staje się bierna masa. Czy takie rozpoznania budzą Pana aprobatę czy sprzeciw?

Kazimierz Orłoś – Ja tego artykułu nie czytałem, dlatego trudno mi odpowiedzieć na podstawie dwóch cytatów, zresztą zdań sformułowanych w sposób dość skomplikowany. Czy w artykule została postawiona teza, że PiS i jego sojusznicy kwestionują szczerłość działań opozycji i doszukują się w jej poczynaniach niejasnych motywacji?

Damian Strzeszewski – Czapliński powiada, że PiS przypisuje swoim adwersarzom, identyfikowanym jakoś ze środowiskiem „Gazety Wyborczej”, uwikłanie w porozumienia z władzami PRL, tym samym odmawia im dostępu do sfery słuszności i buduje poczucie wspólnoty na niechęci do nich.

Kazimierz Orłoś – I sugeruje, że naród jako masa spokojnie przeczekal komunizm? Oczywiście, że wychodzą teraz na jaw różne sprawy – na podstawie materiałów IPN – czasem zaskakujące, dotyczące różnych ludzi, ale wyciąganie z

tego wyżej opisanych wniosków to – moim zdaniem – zbyt daleko idące uproszczenie.

Damian Strzeszewski – Obecnie ścierają się – uprośćmy nieco obraz – dwa dyskursy. Z jednej strony obserwujemy retorykę propisowską, czerpiącą między innymi ze słownika Polski międzywojennej (znaczące wydaje się dowartościowanie kategorii państwa) i – co szczególnie godne pożałowania – z języka Radia Maryja, który zawiera wiele pozostałości nowomowy i rządzi się zasadami charakterystycznymi dla tego kodu. Z drugiej strony oddziałuje na odbiorców dyskurs szeroko rozumianej opozycji, równie silnie nasycony ładunkiem perswazyjnym. W wypowiedziach badaczy na ten temat powraca kategoria nowomowy; używa tego pojęcia w przywołanym artykule Czapliński, ponure historyczne analogie omawia też Michał Głowiński. Atrybuty peerelowskiego języka polityki zwykle dostrzega się wyłącznie w dyskursie PiS-u, ignorując perswazyjne składniki przekazu opozycji. Czy uważa Pan, że jest zasadne używanie tej kategorii teraz?

Kazimierz Orłoś – Moim zdaniem zjawiska dzisiejsze są nieporównywalne do tych z czasów PRL, do tamtej nowomowy, czy to z okresu stalinowskiego – tu w ogóle nie ma żadnej analogii – czy to z czasów Gierka lub Gomułki. Natomiast irytuje używanie pewnych sformułowań – jak „łże-elity” czy „wykształciuchy”. To irytuje i budzi naturalny odruch sprzeciwu. Jednocześnie jest to trochę śmieszne, stanowi pożywkę dla kpin, jakimi stale żywi się program TVN „Szkło kontaktowe”: w różnych zachowaniach, odezwanianach się postaci takich jak Giertych czy Lepper jest dużo śmieszności, które można kojarzyć z sytuacją w PRL.

Damian Strzeszewski – Zastanawiam się, czy to wszystko zasila Pana zeszyty z obserwacjami aktualnego konkretnego. Kiedy obserwuję zwłaszcza może sekretarzy generalnych różnych partii politycznych, mam wrażenie, że Pieniążek, Mamuła i spółka z Pana powieści wracają.

Kazimierz Orłoś – Właśnie, o tym gdzieś napisałem: w momencie dopuszczenia Samoobrony do koalicji odniosłem wrażenie, że oto prowincjonalni

działacze z dawnych peerelowskich czasów wrócili. Dopuszczenie ich do ważnych stanowisk w wolnej Polsce to szalony błąd. Tego rodzaju ludzi opisywałem w *Melinie* czy w *Przechowalni* – ludzi tkwiących w układach, zainteresowanych tylko własnymi korzyściami, czerpanymi z zajmowanych stanowisk, ludzi o specyficznym języku, specyficznym zainteresowaniach, traktujących kobiety jako przedmioty zaspokajania seksualnych potrzeb. Te ich imprezy alkoholowe, samochody, bezkarność – to wszystko wróciło.

Damian Strzeszewski – Odejdźmy teraz od zagadnień polityki. Język partyjny był jednym z fundamentalnych tworzyw Pana powieści i opowiadań antysystemowych. Równie uprzywilejowane tworzywo stanowił taki kod, który obejmował obszar zaspokajania potrzeb wegetatywnych: bohatera charakteryzował pity przezeń radziecki koniak, używana przezeń limuzyna marki „Wołga”, enerdowskie meble, kołnierzyk w rozmiarze 48. Elementy te służyły wartościowaniu konkretnego bohatera, ale zarazem głęboko tkwiły w konwencji realistycznej i współgrały z dyspozycjami odbiorcy – powszechne w PRL poczucie deprivacji, pozbawienia dóbr sprawiało, że to był dobry język opisu rzeczywistości. Jaki język należałoby wybrać teraz – by opisać rzeczywistość: język konsumpcji czy kod związany z innymi obszarami życia?

Kazimierz Orłoś – Muszę powiedzieć, że jestem trochę oderwany od rzeczywistości. Peerelowskie realia mogłem opisać, bo je poznałem, na własnej skórze. Takich a nie innych ludzi widziałem, znałem układy w miasteczkach prowincjonalnych, wiedziałem, jak toczyło się tam życie. Natomiast teraz nie mam już takich kontaktów. Widzę, że afery takie jak sprawa Rywina czy inne, o których ciągle słyszymy, mają wymiar makro, gdy te z dawnych lat miały – mikro. To dwa różne światy. Ja tego świata dzisiejszego nie potrafiłbym opisać precyzyjnie. Zarazem widzę, że niewiele się zmieniło. Opublikowano taśmy z rozmów Oleksego z Gudzowatym. Oni rozmawiali takim językiem, jakim rozmawiał sekretarz partii z komendantem milicji w *Przechowalni* – to mniej więcej ten sam poziom i język podobny.

Damian Strzeszewski – Ten brak dostępu do rzeczywistości jest może zjawiskiem ogólniejszym. O wielu tekstach literackich, mających ambicję pokazania Polski dzisiejszej, da się powiedzieć, że nie docierają do konkretnego – jakiegokolwiek: przedmiotowego, emocjonalnego – tylko zatrzymują się na medialnych substytutach rzeczywistości, zamiast autentycznego podsuwają nieuporządkowany zestaw wyobrażeń, ukierunkowanych przez kolorowe gazety, telewizję. Może to znak czasu.

Kazimierz Orłoś – Właśnie. Mam wrażenie, że wiąże się to z brakiem doświadczenia życiowego autorów – o czym już wspominałem. Literaturę zasila życie w konkretnym miejscu, w konkretnym środowisku, które można poznać. Środowisku, które rządzi się swoimi prawami. Przykład: jeśli młody człowiek, parający się pisaniem, byłby lekarzem, pracował szereg lat w szpitalu, potem zaś ten szpital przedstawił jako tło powieści, myślę, że stworzyłby obraz wiarygodny. Natomiast jeżeli on znałby ten świat ze słyszenia, z gazet – na przykład z przekazów na temat strajku lekarzy i pielęgniarek – dałby obraz niepełny. Powierzchny.

Damian Strzeszewski – Wspominał Pan o swoich reakcjach na produkcyjniaki, w czasach licealnych. Ciekaw jestem, jak Pan dzisiaj oceniłby twórczość, którą określa się mianem prozy małego realizmu. Autorzy tych narracji unikali problematyki wielkiej historii, polityki, idei. Schodzili na poziom miałkiej, przasanej rzeczywistości – wypełniając liczne strony opisami hal i stołówek fabrycznych, i przemyśleniami indywidualistów o mocno ograniczonych horyzontach. Zastanawiałem się też zresztą, czy pewne fragmenty Pana powieści z lat 70. i 80. nie nawiązują do tego wzorca stylizacyjnego, ale biorąc pod uwagę odpowiedzi na niektóre pytania, przyjmuję, że należy tu mówić o zapisach motywowanych doświadczeniem życiowym, a nie czytelniczym.

Kazimierz Orłoś – Staralem się opisać to, co widziałem, co poznałem. Oczywiście w *Przechowalni* ten obraz mógł być nieco zubożony ze względu na użyty tam język – nowomowę, bo tym językiem trudniej było opisać rzeczywistość; powstał obraz w krzywym zwierciadle. Natomiast tak zwany mały realizm z

tamtych lat uważam za formę swoistej ucieczki przed cenzurą, ale jednocześnie opisany tam świat był prawdziwy. Trudno zarzucić tym książkom fałsz, ale też wyróżnia je skupienie się na detalach bez dostrzeżenia głównego problemu: zniewolenia.

Mógłbym dać późniejszy przykład dobrej prozy realistycznej. Przyjaźniłem się z Leszkiem Płazewskim i bardzo ceniłem jego opowiadania. W zbiorze zatytułowanym *W towarzystwie szczura* można znaleźć teksty znakomite, które doskonale oddają atmosferę tamtej rzeczywistości i nie zawierają żadnej nieprawdy. Natomiast przemycają to, czego cenzura nie wychwyciła w 1988 roku – mnóstwo kompromitujących tamtą rzeczywistość szczegółów: kartki, kolejki pod klepem monopolowym od rana do wieczora, polowanie na deficytowe towary: meble, pralki, lodówki itd.

Damian Strzeszewski – Wydaje się, że wówczas już cenzura prowadziła nieco bardziej wyrafinowaną grę i nie gardziła w niej strategią wentyla bezpieczeństwa. Publiczność знаła już późne filmy Stanisława Barei (zwłaszcza *Misia*), które dziś opatruje się wyświechtanym epitetem „kultowe” i uważa za prekursorskie (choć wszak powstały grubo po *Cudownej melinie*). Jeszcze o jeden szczegół chciałbym spytać: czy postać młodego milicjanta w ciemnych okularach i sztruksowej kurtce z *Przechowalni* stanowi odwzorowanie konkretnego autentycznego esbeka czy nawiązanie do nurtu powieści milicyjnej, którą Barańczak opisał znakomicie jako pokraczny owoc mariażu popkultury i nachalnej propagandy?

Kazimierz Orłoś – Opisałem autentyczną historię, która miała miejsce w pewnej szkole w powiatowym mieście. Było tak: uczniowie gimnazjum rozrzucili małe ulotki antyreżimowe. Później spadły na nich represje. To wszystko prawda: przyjazd do szkoły ogromnej ekipy ubeków, dyktanda, jakie urządzili we wszystkich klasach, by rozpoznać autorów tych ulotek po charakterze pisma. Dodałem wspomnianej postaci ciemne okulary, trzymając się może schematu. Ale tacy SB-cy niewątpliwie istnieli.

Damian Strzeszewski – Ciekaw jestem – i to już ostatnie pytanie – czy była jakaś ciągłość między tym poczuciem pozostawania we wspólnocie sprzeciwu,

jaka towarzyszyła Panu w gimnazjum, a późniejszymi okresami: studiów, pierwszych zatrudnień, życia w środowisku literackim. Wydaje się, że taka świadomość bycia we wspólnocie sprzeciwu niesłuchanie dodaje siły, a też uruchamia poczucie powinności.

Kazimierz Orłoś – Dużą rolę odegrała atmosfera domu i szkoły – Gimnazjum Reytana. Obracałem się wśród ludzi, którzy w podobny sposób myśleli o Polsce. Słuchało się – później oczywiście – BBC czy Wolnej Europy i to też miało swoje znaczenie. W okresie bieszczadzkim z kolei żyłem w świecie młodych ludzi, nieco podobnie jak przed maturą: mieliśmy w Solinie swój świat – wspólnych wycieczek i życia na tej budowie. *Cudowna melina* powstała później. Dopiero z pewnej perspektywy inaczej tamten okres zacząłem oceniać.

Decydując się na gest sprzeciwu, jakim było wydanie na emigracji pierwszej mojej powieści, nie miałem takiego poczucia wspólnoty. Różnie oceniano mój wybór, także jako niezbyt rozsądny. Cenzurę wówczas jeszcze traktowano jako coś naturalnego, od czego nie można uciec, z czym trzeba żyć – uważano także, że mój protest jest daremny, że to taki niepotrzebny gest. Natomiast to poczucie wspólnoty sprzeciwu zrodziło się później, w momencie ukazania się „Zapisu”. Wszedłem do grupy redagującej pismo, potem, w okresie KOR-u i „Solidarności”, uczestniczyłem w spotkaniach opozycyjnych, byłem w Związku Literatów – wszedłem do Zarządu Głównego, opozycyjnego w stosunku do władz. Tu już było poczucie solidarności. I to już był autentyczny sprzeciw.

Myślę teraz, że na tle tej „wspólnoty sprzeciwu” mogła powstać „literatura sprzeciwu”. Tak bym ją nazwał: nie literaturą „realizmu antysocjalistycznego”, co – szczególnie dla nas, starszych – brzmi jak epitet, ale właśnie „literaturą sprzeciwu” wobec tego wszystkiego, co widzieliśmy i przeżywaliśmy w PRL. Sprzeciwu wobec panoszącej się władzy, bezkarności partyjnych dygnitarzy, niesprawiedliwości społecznej itd. Ten świat istniał naprawdę, to była nasza rzeczywistość a nie wymyślona, fałszywa, taka, jak w książkach z czasów socrealizmu. Nasz sprzeciw jest zapisany w wielu powieściach i opowiadaniach z lat 70. i 80. XX wieku. Między innymi także w kilku moich książkach. To jest,

moim zdaniem, osobny rozdział w historii literatury polskiej, zasługujący na bardziej wnikliwą uwagę, niż tylko powierzchowne oceny.

Damian Strzeszewski – Dziękuję za rozmowę.